

ORŁATKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

NUMER 4.



KATOWICE, DN. 1-GO MAJA 1927 R.



ROK I.

WIOSENNA NIEDZIELA.

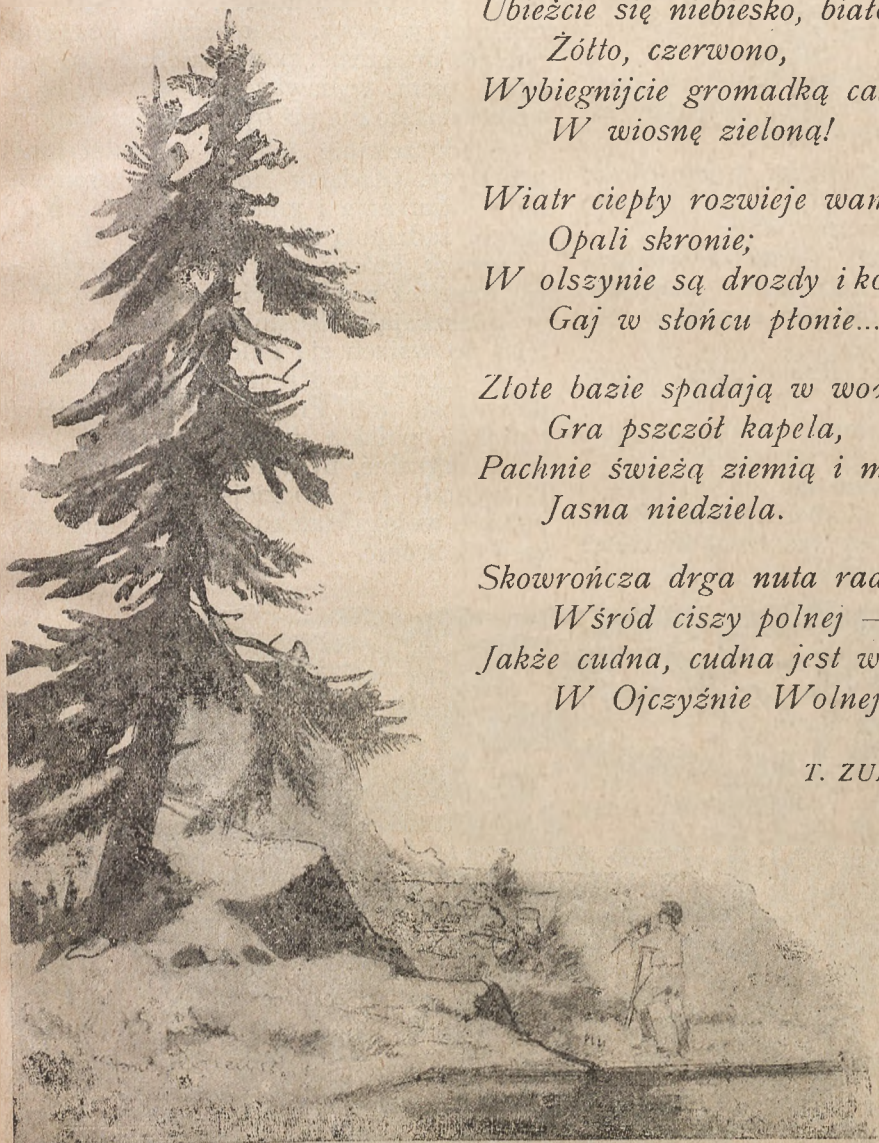
Ubieżcie się niebiesko, biało,
Żółto, czerwono,
Wybiegnijcie gromadką całą
W wiosnę zieloną!

Wiatr ciepły rozwieje wam włosy,
Opali skronie;
W olszynie są drozdy i kosy,
Gaj w słońcu płonie...

Złote baze spadają w wodę,
Gra pszczoł kapela,
Pachnie świeżą ziemią i miodem
Jasna niedziela.

Skowroncza drga nuta radosna
Wśród ciszy polnej —
Jakże cudna, cudna jest wiosna
W Ojczyźnie Wolnej!

T. ZUBRZYCKA



JULJUSZ GERMAN

O JANKU CO WALCZYŁ WE LWOWIE.

Ciąg dalszy (2).

przyszły gorsze czasy.

Pewnego dnia — było to pierwszego listopada — gdy Janek wczesnym pochmurnym rankiem wybiegł z domu i kuląc się z zimna biegł przez ciemne jeszcze ulice po gazety, spotkał na

rogu swego kolegę Franka, małego chłopca z ustami od ucha do ucha, w długim połatanym płaszczu, który włókł się za nim po ziemi.

— Ty, Janek, wiesz, co się w nocy stało? — zawołał do niego, oglądając się ostrożnie na wszystkie strony.

— No co? Pewno matka wygarbowała ci skórę za to, że nigdy nie chcesz się myć, bruliasie? — spytał Janek.

— Ale gdzie tam! — rzekł zafrasowany Franek i nawet zapomniał szturknąć Janka w bok, bo tak się zwykle z nim witał.

— Pomyśl tylko! Rusini zajęli w nocy Lwów!

Janek oczy szeroko otworzył a po plecach zimny dreszcz go przeszedł.

— E, gadasz, sam nie wiesz, co! — krzyknął. — Skądże znowu Rusini? Przecież to polskie miasto jak świat światem!

— Polskie ono jest, to wiemy dobrze —

powiedział Franek ze smutkiem — ale polskiego wojska w niem niema. Daleko gdzieś, o setki mil są polscy żołnierze, w Krakowie, w Warszawie. A te Austriaki przebrzydłe dały Rusinom broń i armaty, karabiny i mundury i gdzie tylko spojrzeć, rusińskich oddziałów pełno jak mrowia. Żółto - niebieskie

kokardy mają u czapek, gęby nadęte, oczy wilcze, okrutne. Już w całym mieście się panoszą, już na ratuszu zatknęli żółto-niebieską chorągiew.

— Na ratuszu, koło katedry, gdzie polscy królowie się modlili, ruska chorągiew! — krzyknął Janek i łyzy zaczęły kapać mu z oczu.

— Jak ci mówię — rzekł Franek i spuścił głowę na piersi. — I już polskie gazety nie będą wychodzić, bo Rusini porzobili w nocy, poniszczyli wszystkie polskie drukarnie, powiedzieli, że już polskich pism wydawać nie wolno, bo to ruskie miasto ma już być na wieki wieków.

Niedoczekanie ich! — zawołał Janek przez łyzy. Zadarty nosok poczerwieniał mu z oburzenia i gniewu. — A niech ich kaczki zadziobią tych wszystkich Hryciów i Iwanów, którzy po cudze łapy wyciągają! Przecież we Lwowie sami tylko Polacy mieszkają, a Rusini to gdzieś tam daleko po wsiach się gnieźdzą!

— Chytry to i podstępny naród — odpowiedział mu Franek. — Chcą wielkie i piękne polskie miasto dla siebie przemocą zagrabić, by z niego uczynić stolicę. I wybrali po złodziejsku chwilę, gdy polskie wojsko daleko, gdy niema Lwowa kto bronić.



— A my to co? — wrzasnął nagle Janek i choć łyzy ciurkiem lały mu się po twarzy, oczki błyszczące jak dwa ziarenka zapaliły się, rozgorzały jak ogniste gwiazdy. — Zbierzemy małych chłopców, choćby uliczników! Znajdą się pewno i starsi! I pokażemy Rusinom! Przepędzimy ich, gdzie pieprz rośnie!

— Dobra myśl! — zawołał Franek i podskoczył do góry, aż mu nogi zaplątały się w długim płaszczu i o mało co się nie przewrócił. — Przestań się tylko mazać! Ładny z ciebie będzie żołnierz, co beczy jak baba.

— To mnie tylko tak trochę łzami zaproszyło, gdym pomyślał, że już nigdy nie będę polskich pism roznosił! — powiedział cicho Janek. — Ale teraz wiem, że Rusinom Lwowa nie damy. Chodź, Franku!

I oczy obeschły mu w jednej chwili.

— Chodź Janku!

Ujęli się pod ręce i pobiegli w ciemne jeszcze uliczki podśpiewując sobie z cicha:

Polskie miasto, miasto Lwów

a my Polakami!

*Pójdzie małych chłopców huf
z gotemi pięściami!*

*Nie straszny nam armat huk
ani karabiny.*

Nie zabierze Lwowa wróg,

Myśmy Polski syny.

Pójdą na Rusinów tłum,



pójdą chłopcy małe!

Orle biały! W skrzydeł szum

uderz nam na chwałę!

Orle biały! Pod twój znak

idziem bez obawy!

Prowadź nas, królewski ptak,

nieśmiertelnej sławy!

Tak sobie Janek z Frankiem śpiewali i zdawało im się, że skrzydła u ramion im rosną, że każdy z nich miecz świetlisty trzyma w dłoni, a na głowie ma hełm złoty, na którym kita z białych i czerwonych piór rozświetla się dumnie.

Aż tu na rogu ulicy stoi ogromny ukraiński żołdak, chłop jak dąb rozrosły. Czapę na oczy nasunął, patrzy zpoдеłba ponurem, wilczem spojrzeniem na dwóch obdartych malców, na karabin bagnet ostry błyszczący nasadził, ku chłopcom groźnie go kieruje.

— A wy tu co? O polskim orle śpiewacie! W ruskiem mieście! Brzuchy wam porozpruwam, gałgany, szczenięta lasze!

I bagnetem potężnie się zamierzy.

Spojrzał Janek na Franka wzrokiem jak błyskawica, odpowiedział Jankowi Franek ognistem spojrzeniem.

I zanim żołdak zdążył bagnetem którego z nich pchnąć, skoczyli na niego obaj jak małe wilki na olbrzymiego kudłatego niedźwiedzia.

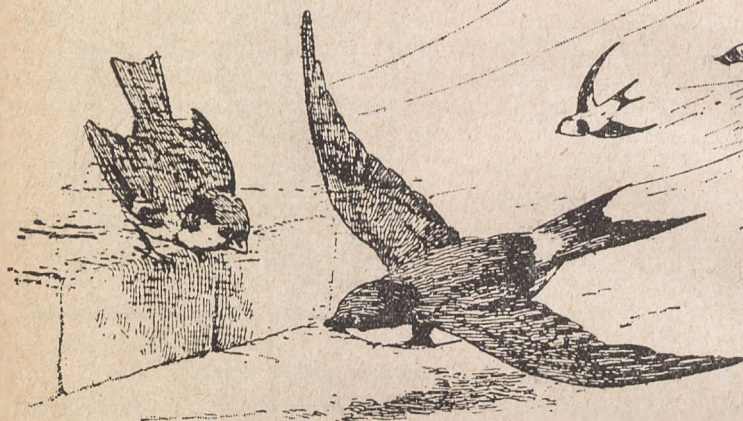
C. d. n.



KAZIUKOWE ŚWIĘTO.

Obrazek sceniczny ze śpiewami
w dwóch odsłonach.

Napisała **MARJA REUTTÓWNA.**



Ciąg dalszy (3).

Józek.

I jeszcze był jeden cud, że jak malarz malował obraz Ś-go Kazimierza, to mu się jakoś nie udało i źle namalował prawą rękę. I starł ją z płótna i wymalował drugi raz już zupełnie dobrze, a potem patrzy, aż i tamta ręka jest, dawajże ścierać i raz i drugi i wszystko napróżno i musiał ją zostawić, i tak pozostał obraz Ś-go Kazimierza z trzema rękami. W dwóch prawych trzyma lilje, a w trzeciej lewej różaniec.

Nauczyciel.

A ty, Kaziu, nic nam o swym patronie nie powiesz.

Kazio

(wyraźnie i śmiało).

Będąc jeszcze małym dzieckiem, Ś-ty Kazimierz, był bardzo dobry, łagodny i posłuszny. Żnali go ubodzy, bo ich wyszukiwał i obdarzał. A najwięcej to dbał święty królewicz o chłopców, którzy się z wiosek i miast różnych do Krakowa zbiegali po naukę. Ubodzy byli przeważnie i zwano ich żakami. Nie mieli często grosza, żeby sobie stawy kupić, chodzili więc cd domu do domu z garnuszkami

w rękę, prosząc o krzynekę jadała. Królewicz prosił bogatych panów o miłosierdzie dla żaków, często też zwoływał ich do królewskiego zamku, przestawał z nimi, jakby z równymi i dzielił się jadłem.

Tadzio.

O jakież on był dobry, szkoda że teraz nie żyje.

Janek.

A tybyś chciał na zamek królewski z garnuszkami pójść?

Wojtek.

Kaziu, opowiedz nam jeszcze coś o Królewczu (do nauczyciela) Pan pozwoli?

Nauczyciel.

Bardzo proszę, i sam chętnie posłucham.

Kazio.

Miłosierny był królewicz nie tylko dla ludzi ale i dla wszelakiego stworzenia. Sam nigdy żadnemu zwierzęciu, ptakowi lub drobnej muszce krzywdy nie zrobił i drugim tego czynić nie pozwalał.

Stefek.

A czy on takie prawo ustanowił?

Kazio.

Nie, lecz prosił i przestrzegał wszystkich chłopców, by zwierząt nie męczyli,

a ptaków w sidła nie łapali. Razu jednego odkupił od jakiegoś biednego chłopca, ślicznego ptaszka, jakiego nikt, i sam nawet mądry Długosz, nigdy nie widział. Dziwowali się ptaszynie wszyscy, a królewicz, głosząc piękną jej główkę, powiedział, że jak mu swego imienia nie powie, to ją do klatki zamknie.

Wszyscy w śmiech, że to przecie tylko ptak, to jakże może swe imię powiedzieć. A ten tymczasem stanął na dłoni królewicza, wyprostował swój ciemno-zielony grzbiet, główkę podniósł do góry, otworzył dzióbek i wyraźnie pisał: „Caj-ka, puść mnie“!

Stefek.

Ach, to chyba był cud!

Józio.

I co dalej, Kaziu, to takie ciekawe.

Kazio.

— „Leć“ zawołał królewicz, ptak rozwinął skrzydła, podniósł się wysoko, raz jeszcze z góry pisał: „Dzięki“ i znikł w obłokach.

Janek.

Co za śliczna opowieść.

Nauczyciel.

Dokończę ją wam. Tejże nocy mały Kazimierz miał dziwny sen. Śniło mu się, że jest ubogim pastuszkim, chodzi po pięknej łące i patrzeć na różnobarwne kwiaty, wesołą zieleń traw i czystą wodę w strumieniu, cieszy się pięknnością swej ziemi. Nagle przyszło mu na myśl, że chociaż ten Boży świat taki piękny, to jednak tylu jest ludzi smutnych, biednych i nieszczęśliwych. Ach, myślał królewicz, kędyż jest skarb taki, któryby dał ludziom szczęście. Co też jest najlepszym najpotrzebniejszym dla wszystkich?— Zaledwo pomyślał, aż słyszy z góry wołanie: „Do-broć, do-broć“ — i widzi, że dokoła niego latają takie same ptaki, jak tamta czajka, której w dzień dał wolność. A je-

den z nich usiadł mu na ramieniu i ludzkim głosem do niego przemawia. „Królewiczu Kazimierzu“, mówi „dobryś ty, boś mnie uratował od mąk i śmierci. Bracia moi wysłali mnie do twego kraju, zobaczyć, czy tu nas krzywdzić nikt nie będzie i widzimy, że pod twą opieką żyć możemy w spokoju przez całe lato“. Pogłaskał królewicz cudownego ptaka i tak mu odpowiedział. „Przylatujcie do Polski śmiało, miłe czajki, nikt tu was nie ukrzywdzi. Pamiętajcie zaś, że macie tu do nas przybywać z dalekich krain zawsze w dzień mojej śmierci“.

Zbudził się Kazimierz i sen swój wszystkim opowiadał, ale nikt go nie rozumiał. Przeszło lat kilka i wczesną wiosną, bo w dzień czwartego marca, zmarł kochany przez wszystkich królewicz Kazimierz. W tenże dzień, z za mórz dalekich, przyleciały po raz pierwszy do Polski, nieznane dotąd, śliczne ptaki, wołając głośno „Tuś-my, tuś-my“. I tak co roku, w rocznicę śmierci naszego świętego, wracają z głośnem wołaniem do nas czajki.

Stefek.

Przywiodła je do nas dobroć królewicza.

Nauczyciel.

Zgadłeś, we śnie swym królewicz dowiedział się, że dobroć jest tym skarbem wielkim, który dać może szczęście ludziom. Naśladujmyż naszego opiekuna i patrona. Dobrymi bądźmy jak on, dla ludzi, zwierząt i roślin.

Wszyscy.

Dziękujemy panu za te śliczne opowiadanie, czy to Długosz je opisał?

Nauczyciel.

Nie, tą legendę opisał Jan Kasproicz, wielki nasz poeta zmarły w 1926 roku.

Ale my tu sobie piękne rzeczy opowiadamy, a szkoła nie przystrojona, wam zaś pewno pilno do domów.

c. d. n.





PSZCZOŁY.

Legenda ludowa.

SEWERYN UDZIELA

W czasie wędrowek po tej ziemi doznawał Chrystus Pan od ludzi dobrego i złego przyjęcia. A postępując zawsze według Swojej świętej nauki: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze“, przebaczał własne zniewagi i łagodził skutki złych uczynków niegodnych ludzi.

Dnia jednego szedł Pan Jezus ze świętym Piotrem i Pawłem i koło południa zbliżyli się do chaty przydrożnej chcąc prosić o jałmużnę. Niestety, trafili do bardzo złej i przewrotnej kobiety, która zobaczywszy zbliżających się ubogich, wybiegła z krzykiem i przekleństwem na ustach naprzeciw, a nawet podniosła kamień i rzuciła nim w przybyłych.

Kamień zranił świętego Pawła w czoło, a twarz krwią się zboczyła. Więc po-

szli święci mężowie dalej, a święty Paweł w pobliskim potoku obmył twarz i ranę. Dzień był gorący, muchy obsiadały ranę na czole, a ku wieczorowi pokazały się tam nawet małe białe robaczki: zaś święty Paweł skarżył się na ból delegliwy.

Wtedy Chrystus Pan oczyścił ranę na czole świętemu, robaczki wybrał i wsadził je do dziupli drzewa w lesie, przez który właśnie przechodzili. Rana zagoiła się natychmiast i wszyscy poszli dalej w drogę.

Gdy po pewnym czasie przechodził Chrystus z apostołami mimo tego drzewa polecił świętemu Pawłowi zajrzeć do dziupli i zobaczyć, co się stało z robaczkami, które wyjął niegdyś z czoła świętego.

Święty Paweł zdumiony zobaczył tam pełno much, które pracowały pilnie około dziwnej budowy komórek, napęniając je słodyczą zebraną z wonnych kwiatów. Były to pszczoły, które budowały plastry z wosku i zapęlniały je miodem.

Tak powstały pszczoły.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

* * *

*Co się stało? Co się dzieje?
Kto woła ratunku, pomocy?
Czy przyszedli zbójcy, złodzieje,
Czy pożar wybuchnął w nocy?
O, nie! To wielbłąd garbaty
Porwał lalkę panny Zosi
I czerwone rwie jej szaty,
Chociaż płacze, chociaż prosi.*

*Zosia w rozpacz, w krzyk i w beki.
Oto lalkę kara spotka,
Że z biednego się kaleki
Naśmiewała mała trzpiotka.
Nie płacz, Żosiu! Dobrze zwierzę
Nie uszkodzi twego skarbu,
Lecz pamiętaj — radzę szczerze —
Że nie trzeba śmiać się z garbu.*

Z RÓŻNYCH STRON ZIEMI •

NAPISAŁ

Dr. DUSZYŃSKI

Dokończenie.

choć niby handel murzynami ustał, to jednak tam, w głębi południowej Afryki i na niektórych wybrzeżach trwa on dotąd.

„Biały” — w pojęciu afrykańskiego dziecka jest tym, czem u was

jest bobak, czarownica, djabeł i wszystko, co może być najgorszego i najpotworniejszego.

Gdy dzieciak murzyński krzyczy lub płacze z głodu, wtedy wystarczy „Cicho, bo cię oddam białym”, albo: cicho bo biały usłyszy — wtedy dziecko uspakaja się w jednej chwili i nie śmie już pisać.

A doprawdy, że dziecko murzyńskie ma większy powód obawiać się „białych” niż wy strachów lub czarowników, bo strachy i czarownice nie istnieją, a „biali” od czasu do czasu wylądowują na brzegach Afryki i zabierają od mieszkańców kość słoniową, skórę tygrysa, złoto i inne drogocenne rzeczy, a natomiast dają im rozmaite bezwartościowe przedmioty, jak lusterka, paciorki, tanie, jaskrawe tkaniny, a co najgorsze tytoń i wódkę. Ojcowie wtedy piją, a pijani oddają wszystko co posiadają, a często nawet własne dzieci, które w ten sposób stają się własnością kupującego, czyli niewolnikami.

Gdy chłopak skończy lat dzieśnięć, ojciec przyucza go strzelać z łuku, a często kła-

dzie mu jedzenie na gałęzi drzewa i każe je sobie zestrzelić. Chłopiec zmuszony głodem przyucza się prędko trafiać do celu.

Potem uczy się rzucać oszczepem, co jest także bardzo ważną umiejętnością dla Afrykanina, gdyż strzała i oszczepem broni się przed napaścią dzikich zwierząt i sąsiadów i sam na nich napada. Ale nauka ta jest wielce przyjemna i nie jeden z was chętnie zamieniłby książkę na łuk i oszczep. Cięższą pracą jest rybołówstwo.

Aby zostać rybakiem chłopak musi się wprzód nauczyć doskonale pływać, bo często fale morskie zatapiają jego malutką z kory drzewnej wyrobioną łódkę zwaną pirogą. Całymi dniami siedzi wyrostek w takiej pirodze, czatuje na ryby, zarzuca wędki, sieci, walczy z wielkimi morskimi rybami wyciąga je — i dobrze jeżeli w takiej walce nie pochwyli go krokodyl lub nie zatopi morska fala.

W tej ciągłej walce z przyrodą, w obliczu straszliwych niebezpieczeństw, chłopiec wyrasta na dzielnego i zaradnego młodzieńca, któremu bieda nieprędko zdoła dokuczyć.

Młodzieniec, który nauczył się celnie strzelać z łuku i rzucać oszczepem, który umie dać sobie radę w wodzie, umie pływać, nurkować, walczyć z falami, łowić ryby i umykać przed rekinami i krokodylami, przestaje być dzieckiem, tak jak i dziewczyna, która umie uprawiać pole, mleć ziarno i wypiekać placki uważana jest za dorosłą.



ZAWSTYDZONY.



Heniek trzymał w ręku śliczne, rumiane jabłuszko.

— Daj mi pół jabłka

— powiedział Stefus — takie ładne jabłuszko musi być bardzo smaczne.

Ale Heniek odpowiedział:

— Mam jabłko dla siebie. Tobie nie dam.

Wtedy Stefek wyjął z kieszeni dwa cukierki, które dostał od mamy i powiedział:

— Mnie mama mówiła, że lepiej smakuje każdy przysmak i każda przyjemność, gdy się je dzieli z innymi. Dlatego dam ci jednego cukierka.

Heniek zawstydził się. Nie śmiał z rąk Stefka wziąć cukierka, choć teraz chętnie dałby za niego pół jabłka. I jabłko nie smakowało mu dzisiaj.

ZABAWA W POLOWANIE.

Dzieci ustawiają się w koło i ciągną losy na Medora i Myśliwego — ostatnim jest „*polowy*“.

Ten ostatni i reszta uczestników zabawy mają wszyscy po dzwoneczku. — Myśliwy i Medor mają oczy zawiązane i dzwoneczków nie mają. Grę zaczyna *polowy* dzwoniąc i wskazując tego, który po nim ma zadzwonić.

Medor stara się pochwycić dzwoniącego. Myśliwy również słuchem się kie-

rując, stara się dotknąć swego psa laseczką, którą ma w ręce. W chwili gdy Myśliwy ma już go dotknąć, *polowy* wskazuje innego z chłopców, który zaraz zaczyna dzwonić, aby zmylić kierunek tak psa, jak i myśliwego.

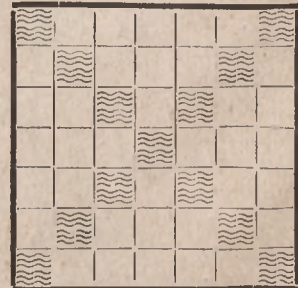
Z chwilą, gdy Myśliwy dotknie psa, — ustępuje miejsce innemu — i idzie do koła. Zastępuje go Medor — którego rolę przyjmuje wyciągający numer trzeci.

Z francuskiego.

Z A G A D K I.

Rozwiązanie z № 2 i 3 umieścimy w następnym numerze „Orlątek“, — kto więc jeszcze nie zdążył ich nadesłać, niech to uczyni jak najszybciej.

Litery w przekątniach, czytane od góry i od dołu, dadzą rozwiązanie. Jakież?



SZARADA KRZYŻYKOWA

Znaczenie wyrazów: 1. gatunek drzewa, 2. sklep z papierosami, 3. urzędnik kolejowy, 4. narząd trawienia, 5. inaczej przyjemny (zdrobniałe), 6. rzeka w Ameryce, 7. gliniany instrument muzyczny.

Pismem kieruje Komitet redakcyjny: Marja Reutt, T. Zubrzycka.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Wandy 41

Konto czekowe P.K.O. № 303-600.

Warunki prenumeraty „Orlątek“ z przesyłką pocztową: — półrocznie 1 zł. — rocznie 2 zł.

Numer pojedynczy 10 gr.